

Wypaleni

4 kwietnia 2011

Ta'izz. W gasnącym świetle dnia góra pnie się wysoko ku niebu. Na zboczu wzgórza wzniesiono miasto, którego budynki, wzorując się na otaczającej je przyrodzie, przyjęły postawę godną i pełną splendoru.

Wiele się zmieniło. Tylko ludzie nie zmienili się nic a nic.

Szpital – z budynkiem rozwalającym się niczym trup i zapachem rozkładu zatykającym nozdrza, przypomina martwe zwierzę.

Wokół ponure twarze. Nie ma w ogóle pacjentów. Tylko tłuści pielęgniarze mają pogodne oblicza.

* * *

– Przypomnisz mi, kiedy wracasz?

– Będę ci o tym nieustannie przypominał w listach.

– Nie sądzę.

– Nie zapomnę cię. Będę o tobie myślał w każdej chwili, w każdej sekundzie. I obiecuję, że przygotuję wszystko na nasz ślub – urządzone mieszkanie i bilety lotnicze dla ciebie, żebyś mogła do mnie przyjechać.

Zaśmiała się i powiedziała:

– Daj sobie spokój z marzeniami. Dzisiaj jest ostanía noc, którą spędzamy razem, potem już cię nie zobaczę. Ale na pewno nie zapomnę.

Próbowałem wytłumaczyć jej, że bardzo ją kocham i że w końcu na pewno ją poślubię, ale nie uwierzyła, nie chciała wierzyć.

– Czas mija, twój samolot wystartuje za kilka godzin... Dałeś mi wszystko, czego pragnęłam, nigdy cię nie zapomnę.

* * *

Dyrektor, patrząc na mnie beczelnie, powiedział mi wczoraj:

– Doktorze, pan jest w Jemenie.

Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, co miał na myśli. To było po tym, jak, zauważywszy, że jeden z pielęgniarzy sprzedawał lekarstwa pacjentom, zażądałem zwolnienia go z pracy.

Zwierzyłem się staremu znajomemu:

– Jak możecie tolerować cały ten bałagan?

Rzucił mi szybkie spojrzenie, po czym odszedł mamrocząc pod nosem:

– Z czasem przyzwyczaisz się do wszystkiego.

Nie byłem co do tego przekonany. Wszyscy patrzyli na mnie z nienawiścią. Stałem się ich wrogiem.

To miejsce przepełnione było zgnilizną moralną. Pozostali z oddziału chirurgicznego trzymali się na uboczu. A pacjenci o poślizgniętych twarzach wydawali się bliżsi śmierci niż życiu.

Profesor powiedział mi:

– Doktorze, gratuluję sukcesu i świetnej roboty, jaką wykonywał pan u nas przez cały ten czas od momentu ukończenia studiów.

Podziękowałem mu bez słów, przepełniała mnie radość.

– Bardzo prosimy, by ten zapak i oddanie zabrał pan ze sobą do swojego kraju. Potrzebują tam pana.

Jemen wydawał mi się wspaniałym, cudownym krajem, gdzie czeka na mnie mnóstwo pracy. Kiedy wychodziłem z gabinetu profesora, wyobrażając sobie, jak zrozpaczeni pacjenci błagają mnie o pomoc, czekała na mnie.

- I co ci powiedział?
- Gratulował mi. Bardzo się ucieszyłem.
- Naprawdę na to zasługujesz.
- A ty naprawdę jesteś dla mnie przemiła.

Wyszła razem ze mną. Miała na sobie swój biały płaszczyk. Powiedziała:

- Ponieważ bardzo cię kocham.

Spojrzałem na nią z miłością. Pragnąłem pocałować ją namiętnie tam, w szpitalnym holu. Ale powiedziałem tylko:

- Będziesz się cieszyć bardziej, kiedy się pobierzemy.

Zaśmiała się, po czym odpowiedziała:

- Marzyciel. Nie wyobrażaj sobie za dużo.

* * *

Dyrektor:

- Jest różnica pomiędzy marzeniami a rzeczywistością. Takie są nasze możliwości, nie możemy tego zmienić. Ale jeśli nie jest pan przekonany, wyświadczę panu przysługę i poproszę o przeniesienie do innego szpitala.

Uderżyły mnie te słowa. Powiedziałem:

- Ale przecież... kwoty w budżecie szpitala są ogromne. Możemy pokryć wszystkie straty. ..nasze potrzeby są naprawdę niewygórowane, a ja przecież nie żądam niemożliwego. Jedyne, co musimy zrobić, to nauczyć się zapobiegać kradzieżom, łapówkarstwu i sprzedawaniu leków pacjentom i...

Zaferowany przerwał mi:

- A może jeszcze defraudacjom, przekrętom? Potrafi pan dużo

mówić. Ale tutaj istnieje różnica pomiędzy marzeniami a rzeczywistością. Proszę nie zapominać, że wciąż jest pan tu nowy.

W jego spojrzeniu dostrzegłem irytację i gniew. Wyszedłem z gabinetu przepełniony nienawiścią do wszystkiego, co w nim się znajdowało.

Spotkałem starego znajomego. Wyszedłem z nim, relacjonując mu wszystko, co usłyszałem przed chwilą. Potrząsnął głową i powiedział:

– Wszyscy przechodziliśmy przez ten etap entuzjazmu. Ale potem uświadamialiśmy sobie, że to był idiotyzm, że nie da się stworzyć niczego nowego z tego, co tu jest.

Powiedziałem z zapałem:

– Przecież możemy to zmienić, musimy tylko być solidarni.

– Powiem ci tylko tyle – sam entuzjazm nie wystarczy.

* * *

Powiedziałem jej:

– Dowiedziałem się od znajomego, który tu pracuje, że rząd daje wszystkim lekarzom urządzone mieszkania – za darmo!

– No i?

– Urządzę dla nas przytulne gniazdko, a potem wyślę ci telegram.

– Tak po prostu?

– Zawsze musisz się naigrawać.

– Wcale nie.. tylko się zastanawiam.

* * *

Nie ma dla nas wolnego mieszkania.

– Ale ja mam pismo od gubernatora.

-Wszystkie mieszkania zostały zajęte. Niektóre siłą.

– I nie ma możliwości, żeby znalazło się jakieś inne mieszkanie?

W jego spojrzeniu dostrzegłem coś w rodzaju obojętności czy braku zainteresowania.

– Doktorze, nie ma co się męczyć.

– Ale wszyscy moi koledzy dostali urządzone mieszkania.

– Jeśli potrafi pan zdobyć rządowe mieszkanie, ale nie siłą, nie będziemy protestować.

– Ja tylko proszę o to, co mi przysługuje...

– A ja tylko mówię – zdobądź pan mieszkanie, jeśli potrafisz.

Wstał zza biurka i wyszedł. Zostawił mnie zmieszanego, jak ostatniego idiotę.

Podszedł do mnie pielęgniarz, ten, którego zwolnienia dopominałem się przed kilkoma dniami. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Powiedział:

– Doktorze, wciąż jesteś młody i nowy tutaj. Najlepiej dla ciebie, jak zaczniesz współpracować z ludźmi, bo inaczej...

– Bo inaczej co?

Odpowiedział, wciąż się uśmiechając:

– Zameczysz się. A na to nie znajdziesz lekarstwa...

Trzasnąłem mu drzwiami przed nosem. Wciąż mi się przypatrywał, a w jego oczach można było dostrzec współczucie.

Gubernator:

– Musimy wstrzymać wypłacanie panu pensji, takie mamy polecenie.

– Ale minęły trzy miesiące, a ja nie dostałem jeszcze nic. Zarząd odmówił mi kredytu. A muszę przecież zapłacić za hotel. Mimo wielu pism od was, nie przydzielili mi mieszkania. W dodatku pielęgniarze prowadzą ze mną wojnę w pracy. Wszystko wokół mnie to jeden wielki burdel.

Roześmiał się i odparł:

– Jest pan w Jemenie, musi się pan przyzwyczaić.

Podszedł do niego jakiś mężczyzna, wręczył mu dokumenty. Próbowałem kontynuować rozmowę, ale on już zaczął rozmawiać z tym drugim. Nie minęła godzina, a ludzie zaroili się wokół niego jak muchy. Dokumenty rozrzucone były po całym gabinecie, pióro nie przestawało pisać. Każdy był pokrzywdzony, każdy miał jakąś sprawę. Z powodu zamkniętych okien w gabinecie zrobiło się duszno, zabrakło mi powietrza. Wyszedłem, nie załatwiwszy swojej sprawy.

Jakiś człowiek szepnął mi do ucha:

– Doktorze, jest pan dobrym człowiekiem, ale pański entuzjazm jest większy niż potrzeba.

Próbowałem sobie przypomnieć, gdzie widziałem tę twarz, ale nie potrafiłem.

* * *

– Ożenię się z tobą, choćbym miał to przypłacić życiem.

– Wiem, jak bardzo mnie kochasz, ale musisz potrafić odróżnić miłość od obowiązków.

– Jesteś dobrym człowiekiem, jak ja, właśnie takich ludzi tam potrzebują.

– Ale ja nie wiem prawie nic o twoim kraju. A życie to nie jest tylko przygoda.

– Ale miłość potrafi przewyciężyć niemożliwe.

– Mówimy o dwóch różnych rzeczach. Żyjemy w drugiej połowie dwudziestego wieku.

– Ale...

Szepnęła mi do ucha, jednocześnie mnie całując:

– Zaraz zapowiedzą twój samolot. Życzę ci dużo szczęścia, kochanie.

Pograżyliśmy się w pocałunku. Wypełnił mnie jej zapach, który ubóstwiałem nad życie.

* * *

Na tle ciemnego nieba, w gasnącym świetle nocy masyw górski otulał nieliczne chmury.

Po godzinie ósmej ulice opustoszały, a sklepy zostały zamknięte. Po dziewiątej już tylko nieliczni przechodnie wracali do domów.

Rozpoczął się wojskowy patrol pustych ulic. Tak się zastanawiałem, ile benzyny zużywa wojsko rocznie na te patrole.

Zastanawiałem się również, czy to prawda, że liczba pacjentów w naszym kraju jest tak mała. Przypomniało mi się, że widziałem kiedyś całe rzędy chorych czekających w kolejce do przychodni, w której przyjmował lekarz z Włoch. A w szpitalu nie było nikogo. Mężczyzna przechodzący obok pozdrowił mnie. Znałem go, pracował u gubernatora. Na jego twarzy zobaczyłem złośliwy uśmiech. Do hotelu wróciłem biegiem. Dorwałem się do butelki whisky.

* * *

Mój dawny znajomy, którego nie widziałem już od dawna, niespodziewanie został ważnym urzędnikiem. Uściskałem go serdecznie, a on zaprosił mnie na kolację. Zdziwił się, kiedy powiedziałem mu, że mieszkam w hotelu i że od czterech miesięcy nie dostałem wypłaty. Zapytał:

– To czemu nie zrezygnujesz? Czemu nie wrócisz?

Roześmiałem się. Przypomniało mi się, jak kiedyś, kiedy jeszcze był studentem, powiedział mi: „Jemeńczycy zawsze wracają”. Odpowiedziałem mu:

– Tutaj człowiek strasznie męczy się z życiem. Zaangażowałem się w tę pracę całym sercem, czuję w środku ogromną, nieodpartą energię do działania. Ale jakie mam perspektywy? Żadne. Idę do szpitala na ósmą, wracam o pierwszej. A przez te całe pięć godzin w ogóle nie pracuję! Czy nie jesteśmy państwem, które chce się rozwijać? Żeby się rozwijać, i to powoli, musimy pracować więcej niż po siedem godzin. Nawet w krajach socjalistycznych nie pracuje się po pięć godzin dziennie.

Męczyło mnie to. Kiedy mu się żaliłem, patrzył na mnie z uśmiechem. Przed nami stała butelka whisky. Opróżniliśmy ją razem. Dowiedziałem się, że on też ma swoje problemy. Z tym, że stracił już cały zapach. Powiedział:

– Wszyscy zaczynamy w ten sposób, a kończymy znudzeni. Jedni uciekają w świat nauki, inni próbują dopasowywać się do rzeczywistości. Ale ci, którzy oczekują czegokolwiek, popadają w alkoholizm, popełniają samobójstwo albo wariują.

Roześmiałem się. Powiedział:

– Spróbuję coś dla ciebie zrobić.

– Wszyscy próbowali. I nic z tego.

– Dlaczego?

– Ponieważ tym krajem rządzą pielęgniarze i pośrednicy.

Roześmiał się i powiedział:

– Tak jest wszędzie.

– A nie sądzisz, że jest jeszcze nadzieja?

Bezsilność i rezygnacja w jego wzroku sprawiły, że i we mnie ustąpił entuzjazm. Poczułem, jakbym całe moje życie był skrępowany łańcuchami.

– W naszym kraju rzeczywistość ma smak goryczy. Coraz trudniej jest przewycięzać problemy. Jesteśmy zacofani i zacofanie to ma bardzo silne korzenie. Przekleństwem jest to, że ludzie żyli w nim tak długo, że sami stali się jego częścią.

Zostawiłem go. Bardzo mu współczułem, bo, mimo wszystko, był dobrym człowiekiem.

* * *

Odwiedziłem go w jego mieszkaniu. Chorował na gruźlicę. Był wychudzony i zmizerniał, stracił poczucie humoru.

Pokój, w którym mieszkał, był brudny, łazienka nie miała drzwi, a zapach tego miejsca nie różnił się od zapachu szpitala. Spał na starym łóżku, na podartym prześcieradle.

Nawet kiedy był studentem, jego pokój był czystszy niż ten teraz. Dałem mu zastrzyk i przepisałem lekarstwa. Wokół łóżka leżało mnóstwo książek, gazet i czasopism, widać, że wciąż uwielbiał czytać. Kiedy podałem mu receptę, zapytał:

– Skąd, doktorze?

Spojrzałem na niego ze współczuciem i powiedziałem:

– Przyniosę ci lekarstwa.

– Dziękuję. Słowo to wypowiedział z bólem.

W mieszkaniu panowała duża wilgoć. Znajdowało się w wąskim, pełnym śmieci i zanieczyszczeń zaułku. Po ulicy skakały obdarte dzieciaki. Pomyślałem sobie, że z takiego miejsca można wynieść przerażającą liczbę różnych chorób. Zapytałem:

– Nie mogłeś znaleźć miejsca lepszego od tego?

W jego oczach pojawiło się pytanie:

– Ale jak?

Nie raz został wyrzucony z pracy, nie raz siedział w więzieniu. Dopytywałem się, czy nie pomagają mu jacyś koledzy. Ale wolałem nie znać odpowiedzi na to pytanie. Nikt nie wiedział, co tu się działo.

Był moim starym znajomym. Człowiekiem dobrym i pogodnym. Ale utracił radość życia.

* * *

Odwiedziłem go więcej razy. Przynosiłem mu leki, zaczął wracać do zdrowia. Powiedział:

– Na tym świecie wszystko jest zepsute.

Kiedy zaczynał narzekać, tylko słuchałem. Raz mu odpowiedziałem:

– Nawet wam, bojownikom, się to znudziło.

Osłabiony, zaśmiał się:

– Nic nie zachęca do tego, by żyć.

Zapytałem pokazując na książki:

– Nawet to?

– Gdyby nie one, umarłbym już dawno temu. Nie pozostało mi nic poza czytaniem. To moja jedyna pociecha. Czasami sam siebie pytam: czemu książki? One przenoszą mnie do świata, o jakim

marzę i jaki pragnę, by istniał.

Zacząłem odwiedzać go regularnie. W końcu był moim pacjentem, który naprawdę wymagał opieki.

* * *

Po sześciu miesiącach otrzymałem wypłatę. Lecz jeśli chodzi o mieszkanie, straciłem nadzieję, że je kiedykolwiek dostanę. Uświadomiłem sobie, że od dwóch miesięcy nie napisałem do niej.

W swoim ostatnim liście pisała: „Widzę, że nowe obowiązki pochłaniają Cię całkowicie. Jak długo będziesz pracował i osiągał sukcesy, będę Cię wspierać. Wyobrażam sobie, że pochłonięty pracą, każdą możliwą chwilę przeznaczasz na odpoczynek i pisanie do mnie. I być może nie masz nawet czasu, żeby pomyśleć o swojej ukochanej... Ale w kraju takim jak twój, gdzie jest bardzo dużo pacjentów, lekarz na pewno postrzegany jest jako wielki skarb”.

Po przeczytaniu tego listu wybuchnąłem śmiechem. Zauważywszy to kolega zapytał:

– Co cię tak rozbawiło?

– A nic... Przypomniał mi się właśnie stary dowcip.

Któregoś dnia mój chory przyjaciel powiedział mi:

– Doktorze, wszyscy ci ludzie tutaj, wszystkie dzieci są chore. Każdego dnia choroba kogoś zabija. Śmierć stała się tutaj czymś zwyczajnym. Tak często nas nawiedza, że przyzwyczailiśmy się do niej.

– Ja przywykłem do tego, że prawie nikt do nas nie przychodzi!

– Nie... Nie wierz w to, że ludzie uciekają od płacenia. Wasz szpital ma wszystko, czego każdy z nich potrzebuje. Ale pieniądze, nawet gdyby było ich więcej, nie poszłyby na

leczenie. Gdyby tylko te pieniądze, które płacimy, trafiły do państwa. Ale pacjenci płacą, a pieniądze idą na marne. Trafiają do tych, którzy wykorzystują innych, do złodziei. Więc nie płacimy, nikt się nie wzbogaca. Lekarze to wiedzą. Niektórzy pacjenci wolą iść do lekarza w przychodni, niż do szpitala. Dla was wszystko to pieniądze... wszystko, nawet śmierć.

Mówienie sprawiało mu ból. To był ból człowieka, który próbował walczyć i któremu przysporzyło to tylko cierpienia. I który wciąż cierpiał.

* * *

– Doktorze... dyrektor chce pana widzieć.

Udałem się do dyrektora. Siedział za biurkiem przeglądając jakieś dokumenty.

Kiedy mnie zobaczył, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Proszę doktorze.

Usiadłem. W jego spojrzeniu dostrzegłem jakby triumf.

Mówił do mnie, przekładając papiery.

– Dostaliśmy polecenie z ministerstwa dotyczące pana, doktorze.

Zrobił pauzę i spojrzał na mnie prowokacyjnie. Poczułem przenikliwe zimno. Zapytałem:

– Tak?

– Pojedzie pan kontynuować pracę do miejscowości H.

Zapytałem zdziwiony: Jak to do H.? Przecież tam nie ma szpitala.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Poproszono ministerstwo o przysłanie lekarza, wybór padł na pana.

– Co ministerstwo chce, żebym tam robił?

– Nie wiem, to jest odgórne zarządzenie, wynika z niego, że od jutra będzie pan pracował tam i tam otrzymywał pensję.

To nie ma sensu... To jakaś gra... Usłyszałem szept... Na twarzach pielęgniarzy i pośredników zajaśniały uśmiechy. Lekarzy nigdy się nie przenosi, a ja muszę opuścić szpital.

Udałem się do gubernatora, a gdy usłyszał wieści, ucieszył się.

– Wspaniale... W H. rzeczywiście potrzebny jest lekarz.

– Ale tam nie ma szpitala, ani nawet przychodni, ani niczego. Żadnych narzędzi lekarskich, lekarstw, nie ma nawet budynku!

– Będzie mógł pan pracować mimo to. Jest pan młody, ma pan energię. Wszyscy wychwalają pańskie zdolności, kwalifikacje no i oddanie.

* * *

Nowe miejsce wygnania jest wspaniałym miejscem. Słońce praży przez cały dzień. Much jest chyba więcej niż promieni słonecznych. A ludzi nie ma wcale.

Nikt nie prosił o lekarza. Tutaj niczego nie potrzeba. Nie ma pacjentów. W tym upale wszystko pozamykane jest na cztery spusty.

Wiatr niesie ze sobą kurz i pył, niesie je daleko za horyzont.

Popadam w letarg. Nikt nie chce ode mnie niczego, nikt niczego nie oczekuje. Ludzie nie mogą uwierzyć, że lekarz przybył bez leków, bez łóżek, bez sprzętu.

Muszę coś zrobić... cokolwiek... Żeby nie umrzeć z bezczynności...

Autor: Muhammad Abd al-Wali

Tłumaczenie z arabskiego: Magdalena Dudkiewicz

Źródło: [Arabia](#)

O AUTORZE

Muhammad Abd al-Wali (1939-1973) to kontrowersyjny jemeński powieściopisarz i dramaturg, urodzony w Etiopii. Syn Jemeńczyków osiadłych w tym kraju. W swojej twórczości często poruszał wątek wygnania, pogranicza kultur, w których bohaterowie nie mogą się odnaleźć.